

Bazyl i Licho

Czort zwodzony

Wczesnym latem mała polana pośrodku lasu była najpiękniejszym miejscem na świecie. Przynajmniej zdaniem Bazyla.

Każdego dnia słońce wychylało się sponad gęstych od listowia koron okolicznych drzew, przeciągało się, żeby rozprostować promyczki, po czym zabierało rażno do przyświecania. Tu musnęło, tam przygrzało, roziskrzało swym blaskiem krople porannej rosy na równiutkich grządkach, gdzie rosły nieśmiałe krzaczki pomidorów, kępy lubczyku, rzędy koperku i truskawki z zabawnymi długiśnymi wąsami. Na końcu każdego takiego wąsa prężyły się tycie sadzonki. Pod pieszczotami słońca i deszczu wąsy wiły się po grządkach jak zielone sznurówki. Szukały skrawka ziemi, żeby zapuścić tam korzonki i rozrosnąć w nieoczekiwany krzaczek, na przykład w szczypiorku. Albo w buraczkach. Kto by pomyślał, że truskawki są nie tylko pyszne, ale i takie sprytne!

Od czasu do czasu na polanę wpadał wietrzyk i dokazywał w najlepsze. Buszował wśród wysokich traw i kolorowych polnych kwiatów, szeleszcząc nimi i szumiąc, jak gdyby chciał udowodnić słońcu, że i on potrafi harcować. Szu – i wzbijał w powietrze biały puch z dmuchawców, szu – strząsał ostatnie

krople nocnego deszczu z sosnowych igiełek. A razem z wietrzykiem po polanie uwijały się, bucząc i brzęcząc, pracowite pszczoły i trzmiele o krągłych pupciach i chudziutkich nóżkach, które aż się chciało łaskotać po piętach.

(Tylko czy trzmiele mają pięty? Zdaniem Bazyla powinny mieć. Chociażby do tego gilania).

Oj, nie, nie miało wczesne lato litości nad nikim. Budziło wczesnie i wyciągało z domu, wabiąc barwami i dźwiękami, woniami i smakami, ciepłkiem i długim dniem. Wobec takich okoliczności przyrody nawet czortom trudno było usiedzieć w domu. A już szczególnie trudno było takiemu Bazylowi.

Bazyl mógłby śmiało nazywać się pierwszorzędnym powsinogą, gdyby... no, gdyby tylko mógł. Niestety, takie długie i skomplikowane słowa zawsze bolały go w paszczę, dlatego starał się ich unikać w miarę możliwości.

W przeciwieństwie do młodej kapustki, największego przysmaku wczesnego lata, bo tej nie unikał nigdy. Był bowiem zdania, że młodą kapustką należy się cieszyć, póki trwa jej czas, nawet jeśli mogło się to skończyć bólem przepelnionego brzuszka.

Tego wieczoru jak zwykle siedział na stopniach przed drewnianym domem na pola- nie pośrodku lasu i wcinał młodą kapustkę ze śmietaną i koperkiem. Rano zwykł ją zagryzać chrupiącą bułeczką, ponieważ prawdziwe śniadanie bez bułeczki się nie liczyło.

Na obiad, tak dla odmiany i urozmaicenia, nakładał sobie do kapustki nieco ziemniaczków utyłanych w masełku i przyprószonych obficie koperkiem. A na kolację jadł to samo, tylko że razem i naraz, całość na dodatek popijając zimniutkim kefirem. Spać chodził codziennie objedzony jak bąk. Nie, nawet bardziej! Jak czort wczesnym latem!

Siedział więc i wcinał kolację, aż mu się uszy trzęsły, a wraz z uszami koczek i bródka, trochę kozia i trochę ukoperkowana, kiedy nieoczekiwanie ujrzał przed sobą jakiegoś owada o tłuściutkich kształtach.

– Och! Czmjel! – uradował się Bazyl i zastrzygł kozimi uszami.

Gdyby nie był czortem z urodzenia, zostałby trzmielom, jak nic. Nawet puchatość od strony pupci miał odpowiednią! Był gotów podzielić się z przybyszem swoją kolacją, chociaż owad pewnie wolałby wodę z cukrem. Ale kto wie, może od kapustki zrobiłby się jeszcze bardziej puchaty w odwłoczku?

– Szlyczna pupcza! – Czort szczerze skomplementował trzmiela, który wywijał ósemkę za ósemką tuż przed jego paszczą, jak gdyby się zastanawiał, czy spróbować tej kapustki, czy raczej poczekać na cukier. – Taka... taka... eee... szfeczoncza?...

Dziwne. Bazyl pierwsze słyszał, żeby trzmielom świeciły się pupcie. Może to był supertrzmiel? Może ugryzła go zmutowana żarówka? Albo wpadł do kadzi z magicznym wywarem, kiedy był jeszcze małym czerwiem? Albo...

– OCH! To ne jeszt czmjel! To szfjetlyczek!... – sapnął czort, zdjęty zachwytem. Bo choć trzmiela uwielbiał, to nigdy jeszcze nie widział prawdziwego świetlika. A gdyby ktoś zapytał, czy jego zdaniem istnieje cokolwiek wspanialszego niż puchata pupcia, to odparłby bez zastanowienia, że oczywiście! Mianowicie pupcia puchata i świecąca!

Bazyl odstawił miseczkę na drewniany stopień i oczarowany podreptał za oddalającym się owadem, żeby przyjrzeć mu się lepiej. Z tej ciekawości całkiem zapomniał, że na dnie miski zostało jeszcze nieco kapustki w śmietanowo-koperkowym sosiku oraz skrawek bułeczki, taki w sam raz, żeby tę resztkę zgrabnie wygrzebać. A że wczesnym latem zmierzch wciąż potrafi zapaść zniecka, do lasu zaś lepiej nie chodzić samemu, zwłaszcza po ciemku – cóż, o tym zapomniał jeszcze bardziej.